

ZDZISŁAW DĘBICKI

WŁ. ST. REYMONT

LAUREAT NOBLA

Z portretem Wł. St. Reymonta



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WŁADYSŁAW ST. REYMONT — LAUREAT NOBLA



W. St. Raymond.

ZDZISŁAW DĘBICKI

WŁ. ST. REYMONT

LAUREAT NOBLA

Z portretem Wł. St. Reymonta



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Wpisano do Księgi Akcesji

Alf. D. I m. 1911

ZDZISŁAW DEBICKI



CM 314492



SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING C-o., INC.”—NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, Sp. Akc.” -KATOWICE

1925

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr *144* /2011/ *CM*

W polskim życiu literackim zaszedł fakt doniosły. Po raz drugi pisarz polski otrzymał nagrodę Nobla. Po Sienkiewiczu Reymont wszedł w triumfie laureata do złotej legji najprzedniejszych twórców piękna, których imiona przejdą do potomności, aby wobec niej zaświadczyć o wysiłku ducha i myśli współczesnej w kierunku poznawania życia, rozwiązywania jego zagadnień i wznoszenia się na skrzydłach ideału ponad codzienną troskę człowieka, ku wyżynom, na których króluje Bóg i wieczysta jego dziedzina — niezamącona niczem harmonja, a więc i wyraz tej harmonji — Piękno.

Dla nas, Polaków, to wysokie odznaczenie Reymonta, to wliczenie go w poczet największych pisarzy świata współczesnego, ma szczególne znaczenie.

Mówi ono całemu światu o Polsce, zbliża ten świat ku Polsce i jednocześnie Polskę ku temu światu podnosi na zwycięskiej, triumfalnej tarczy.

Słuszną może to nas dumą napełniać i słuszenie możemy się z tego chlubić.

Wślad jednak za tą dumą idzie obowiązek bliższego i głębszego, niż dotychczas, poznania tego

pisarza, któremu, jako naród, zawdzięczamy, że został on uznany za najlepszego wyraziciela naszej polskiej duszy, to znaczy naszych ukochań, tęsknot, dążeń, niepewności i niepokojów, które składają się na całość naszego życia wewnętrznego i stanowią o jego wartości dla nas samych i dla innych.

Musimy tedy dzisiaj z całą powagą odpowiedzieć sobie na pytanie, czy twórcze dzieło Reymonta istotnie wyraża to wszystko? Musimy także zastanowić się nad tem, czy znamy to dzieło dostatecznie, czy jesteśmy z niem zżyci tak, jak naród żywać się powinien z arcydziełami swojej literatury?

I tu odrazu obowiązkiem naszego sumienia jest stwierdzić, że autor „Chłopów“, mimo całej popularności tego utworu w Polsce i poza jej granicami, nie osiągnął jeszcze ani tego zrozumienia ani tego ukochania, na jakie zasługuje, jako wielki pisarz.

Znamy go, ciągle jeszcze, za mało.

Wystarczy uświadomić sobie, że dzisiaj, kiedy cały świat mówi o autorze „Chłopów“, — my, jego najbliżsi, nie jesteśmy dostatecznie poinformowani nawet o szczegółach jego życia, nie mamy żadnej, nie już wyczerpującej, lecz choćby tylko krótkiej, ale opartej na dokumentach, jego biografji, a wiemy o nim tyle, ile można było usłyszeć od niego samego, z czem się w przyjacielskich rozmowach temu lub innemu z pośród nas zwierzył.

Są to jednak wiadomości niewystarczające.

Oczywiście, każdego pisarza poznaje się najlepiej przez jego dzieła, jest on tam bowiem *cały*. Jakaś

częstka jego ducha znajduje się w każdej ze stworzonych przez niego postaci; każda taka postać, pomimo pozorów przedmiotowości, czuje jego podmiotowemi uczuciami i myśli jego podmiotowemi myślami. Ale tego niedosyć.

Trzeba znać jeszcze dobrze nietyle „środowisko“, z którego pisarz wyszedł, ile to, co nazywamy dzisiaj „rasą psychiczną“. Trzeba mieć *eugeniczne* wiadomości o duszy pisarza, o jej obciążeniach dziedzicznych i o warunkach, w jakich się ona kształtowała.

Otóż co do Reymonta, tego wszystkiego nie wiemy, lub wiemy to w stopniu niedostatecznym.

Znane nam jest tylko jego ludowe pochodzenie, jego wieś rodzinna, Kobiele Wielkie, w ziemi piotrkowskiej. Nic lub niewiele ponad to.

Co więcej, nazwisko o brzmieniu obcem pozwala przypuszczać, zwłaszcza cudzoziemcom, którzy to czynią chętnie, że w żyłach Reymonta płynie krew nie polska lub nietylko polska, że nie jest on Polakiem z rasy.

Otóż tak nie jest, a jeżeli mówię o tem w tej chwili, to dlatego, żeby wykazać, że wyłącznie tylko na dziełach Reymonta musimy się oprzeć, aby przekonać się o tem, że mamy do czynienia z *pisarzem o tak wyjątkowo polskiej strukturze ducha i umysłu*, o takiej „samorodności rasowej“, jak mało który z naszych pisarzy współczesnych o nazwiskach, które brzmieniem swoim żadnej nie budzą wątpliwości.

Reymont, jak Kasprowicz, jest przedewszystkiem „synem ziemi“. Jest tak blisko i nierozzerwalnie z nią związany, tak w nią wrośnięty wszystkimi włóknami swojej duszy i wszystkimi nerwami swojego serca, że bez tego podłoża niepodobna go zrozumieć ani odczuć.

I to rozwiązuje nam problemat jego małej — w stosunku do ogromu dokonanego dzieła — popularności. Rozumieją go i odczuwają tylko ci z pośród nas, którzy rozumieją i odczuwają ziemię, którzy znają przyrodę polską, jej tysiączne barwy i głosy, jej swoiste życie, rozwijające się według rytmu czterech pór roku.

Ludność miejska, która stanowi ogromną odsetkę publiczności czytającej w Polsce, a wśród tej ludności inteligencja polsko-żydowska, która szuka w powieści bądź intelektualnych, bądź erotycznych podniet, Reymonta nie odczuwa i nie rozumie w całej pełni. Reymont bowiem nie jest ani intelektualistą, dociekającym rzeczy niedocieczonych, ani pisarzem nastrojonym erotycznie, igrającym za pośrednictwem sztuki ze zmysłami, jak Przybyszewski albo Żeromski, albo Tetmajer w niektórych swoich powieściach.

Stosunek jego do potężnych i złożonych zjawisk życia wewnętrznego, życia duszy ludzkiej, jest niesłychanie prosty i przez tę prostotę swoją poważny. Można by go nazwać stosunkiem religijnym, opartym na wierze w to, że Istność Wyższa, że Bóg może w każdej chwili wmieszać się w nasze życie „na naszą korzyść lub niekorzyść“. Tak właśnie zapatruje

się na te rzeczy prosty, wierzący człowiek, który nie zna niepokojącej szarpaniny wyrafinowanego umysłu, ale przy pomocy zdrowego rozsądku, czyli t. zw. „chłopskiego rozumu“, rozstrzyga czasem trafniej i lepiej, a zawsze wygodniej dla siebie, zastępujące mu drogę zagadnienia.

Przebiegam myślą całą twórczość Reymonta i nie widzę tam ani jednego momentu „intelektualnego“, związanego bezpośrednio i mocno z przeżytemi przez pokolenie współczesne przesileniami w dziedzinie umysłowej. Ani jednego wzniesienia się do tych wyżyn, na których rozgrywają się tragedje, związane z ograniczonością ludzkiego poznania. Ani jednego buntu przeciw niewiedzy człowieka, wydanego na łup ciągłych wątpliwości i ciągłych próżnych dociekań.

Nie. Reymont nie jest z typu wiecznych rewolucjonistów ducha. Jest w nim religijne poddanie się ustanowionemu porządkowi rzeczy, jakiś głęboki, wewnętrzny szacunek dla praw ustanowionych, dla granic zakreślonych poznaniu ludzkiemu. A poza temi granicami zaczyna się dla niego natychmiast, bez żadnej sfery przejściowej, obszar wiary, obszar, w którego ramach możliwe są wszelkie możliwości.

I to nam tłumaczy, dlaczego ten pisarz, którego sztuka oparta jest na realizmie, który czasami wydaje nam się więcej niż realistą, bo naturalistą czystej krwi — potrafi jednocześnie, idąc za swoją wiarą wewnętrzną, uprawiać te dziedziny, które nietylko nic wspólnego z naturalizmem nie mają, lecz są zgoła irrealne.

Przecież Reymont jest w naszej literaturze jednym z niewielu żarliwych zwolenników spirytyzmu, do czego doprowadziła go jego niezachwiana wiara w nieśmiertelność indywidualną. Tajemnica życia pozagrobowego jest jedną z najbardziej nęcących go tajemnic, a to, co dał nam w tym kierunku w „Wampirze“, świadczy, jak łatwo i jak daleko unosi go wyobraźnia w zetknięciu z temi tematami.

A teraz druga — wysoce charakterystyczna i wysoce znamienna — jak już mówiłem — cecha Reymonta, jako pisarza współczesnego — cecha, która go od całego rówieśnego mu w literaturze pokolenia odłącza, wyodrębnia i wyznacza mu jego własne w tej literaturze stanowisko.

To wyjątkowy spokój i czystość kreślonych przez niego scen erotycznych, nawet tych, gdzie wchodzi w grę duża namiętność, gdzie krew szumi i przelewa się czerwonymi falami przez mózg, uderzając na ośrodki zmysłów.

I znów przebiegam myślą całą twórczość Reymonta i nie widzę ani jednej tego rodzaju sceny, która byłaby przesycona zmysłowością, tak swoistą pisarzom współczesnym, nie wyłączając największego z nich, Stefana Żeromskiego. I znów muszę zaznaczyć, że jest to rzecz wyjątkowa i rzucająca światło na całą wyjątkowość organizacji psychicznej autora „Chłopów“.

Nie znaczy to, aby hołdował on jakiejś prudencji, jakiejś wstydlivości i powściągliwości tam, gdzie sztuka pozwala na zupełną swobodę i szczerłość wy-

powiadania się, gdzie namiętności ludzkie są naturalne i zupełnie naturalnie prowadzą do rozwiązań o wysokiem erotycznym napięciu i wyładowaniu.

Bynajmniej. Reymont zna człowieka, rozumie go i usprawiedliwia w nim nawet zwierzę. Ale natura jego jest nawskroś zdrowa. Nie zna ona wyrafinowanych rozkoszy, nie lubuje się w zmysłowości, nie szuka podniety w lubieżnych obrazach. Obcy mu jest erotyzm mózgowy, wprowadzony do naszej literatury przez Przybyszewskiego. Obcy mu jest ten zawrotny taniec miłości i śmierci, w którym seksualizm triumfuje niepodzielnie, a człowiek staje się igraszką wyuzdanych instynktów.

Burze zmysłowe, które przeciągają przez jego powieści, są jak burze w przyrodzie. Nie zatruwają one, ale oczyszczają atmosferę, nasycając ją dobroczynnym tlenem, który pozwala oddychać łatwiej i swobodniej.

W porównaniu z tem wszystkim, do czego przyzwyczaiła nas literatura nie nasza i nasza, w porównaniu z tą perwersją erotyczną, która mimo najbardziej nawet artystycznych szat, w jakie się przyobleka, nie przestaje być perwersją, w porównaniu z całym rozkładowem, podniecającem i niebezpiecznem, jak trucizna działaniem sztuki nowoczesnej, podpatrującej z za firanek sceny w alkowach i buduarach — sztuka Reymonta jest w tej dziedzinie czemś tak szczerem, otwartem i prostem, że nie można się nadziwić jej słonecznemu, jakby greckiemu rozradowaniu, nie mającemu nic wspólnego z „nastro-

jami“ czasu i pokolenia, do którego ten wyjątkowo czysty pisarz należy.

W tej jego czystości, na którą — śmiem twierdzić — nikt dotychczas dostatecznej uwagi nie zwrócił, tkwi jego siła.

Kto tę siłę odczuł, ten wszedł w stosunek jakiegoś specjalnego *zaufania* do Reymonta.

Odczuć go jednak i zrozumieć w tym kierunku mogą tylko ludzie *zdrowi*. I znów nie ludzie z miasta, nie ludzie wyrafinowanego intelektu i rozigranych zmysłów, ale ludzie prostych serc, ludzie, którzy są bliscy przyrodzie, a przez przyrodę bliscy Bogu, bo Bóg i Natura to w koncepcji Reymonta jedno.

Niezmiennie, wieczne prawa natury, to prawa, ustalone w tej swojej niezmienności i wieczności przez Boga. Człowiek powinien być im posłuszny, jak powinien być posłuszny woli boskiej. Stąd wszystko, co jest przeciwne naturze, jest przeciwne Bogu, i odwrotnie, wszystko, co jest przeciwne Bogu, przeciwne jest naturze.

Niema w tem żadnej inwencji filozoficznej. Jest to pogląd, swoisty miljonom ludu polskiego, żyjącego od wieków zgodnie z prawami Boga i Natury i, pokornie, bez buntu, poddającego się tym prawom.

I gdybyśmy nic zgoła nie wiedzieli o ludowem pochodzeniu Reymonta, to niewątpliwie owo głębokie poczucie ładu i porządku odwiecznego, ustalonego na ziemi, doprowadziłoby nas do wniosku, że

mamy do czynienia z synem tej ziemi, który z niej przede wszystkim czerpał wszystkie soki odżywcze dla swojej twórczości.

Każdy artysta ma jakieś tajemnicze źródło sił, których dopływ krzepi go i umacnia w posłannictwie, które pełni.

Dla jednych siły te tkwią w podobłocznej krainie ideałów, dla drugich w zupełnie realnych wartościach życia ziemskiego, w poczuciu i odczuciu rzeczywistości ludzkiej, takiej, jaką ona jest, innemi słowy *w prawdzie życia*. Nie w szlachetnem kłamstwie i ułudzie, które wzbijają nas ponad życie, ale w szczerzej tego życia prawdzie. Reymont należy do tego drugiego rodzaju artystów.

Jest urodzonym realistą. I to znów dowód jego „rasowości psychicznej“, jego bliskiego związku z ludem polskim.

Chłop polski jest realistą. O tem nie może być dwóch zdań. O ile inteligencja polska jest, a przynajmniej do niedawna była nawskroś idealistyczna, i to tak dalece, że w swoich wzlotach idealnych zatracala w znacznej mierze lub całkowicie poczucie rzeczywistości, co zemściło się na niej szczególnie w okresie wielkiej wojny — o tyle lud polski w całej swojej masie obdarzony jest wprost niepospolitem poczuciem rzeczywistości, co daje mu zdumiewający nieraz *zdrowy rozum*, ów przysłowiowy „chłopski rozum“, rozstrzygający prosto zawile nawet kwestje społeczne i polityczne trzeźwą oceną swojego „interesu“ życiowego.

Reymont tę właśnie „trzeźwość“ wniósł z sobą do literatury.

Nie on wprowadził pierwszy wieś polską i lud polski do powieści. Były już przed nim dość liczne próby uczynienia tego, i próby bardzo szczęśliwe i na wielką nawet miarę. Wystarczy wymienić niewątpliwie arcydzieło Prusa „Placówkę“ i całą, niedocenianą dotychczas, twórczość Adolfa Dygasińskiego.

Ale, jeżeli zapomnimy na chwilę o Prusie i Dygasińskim, a spojrzymy ponad temi szczytowemi punktami na całą literaturę końca XIX wieku, to przekonamy się, iż tkwiący w niej „sentyment dla ludu“ był tylko teoretycznym, zdawkowym, nawskroś ideologicznym sentymentem, niewiele mającym wspólnego z rzeczywistością chłopską.

Rzeczywistego chłopa dolin postawił w literaturze dopiero Reymont, podobnie jak rzeczywistego górala wydzwignął ponad zdawkowy sentyment mieszcuchów dla góralszczyzny dopiero Tetmajer w „Skalnem Podhalu“.

Obaj ci pisarze mają jednakową zasługę — jeden dla gór, drugi dla dolin i — mimowoli — ta ich zasługa prosi się o porównanie z wiekopomną zasługą Mickiewicza, który postawił kończącemu się światu szlacheckiemu XVIII-go wieku pomnik wiecznotrwały w „Panu Tadeuszu“.

Epoka, którą przeżywamy obecnie, a którą rozpoczęliśmy przeżywać mniej więcej w zaraniu wieku XX-go, wówczas właśnie, gdy Reymont

zaczynał pisać „Chłopów“, jest pod wieloma względami bardzo podobna do epoki, którą w dzieciństwie i wczesnej młodości swojej przeżywał Mickiewicz.

Wtedy likwidowała się Polska szlachecka, stanowa, uprzywilejowana, ustępując miejsca Polsce nowej, demokratycznej, która pomimo upadku państwa, dążyła w myśl Konstytucji 3-go maja, czy to w ramach Ks. Warszawskiego, czy nawet w ramach Królestwa Kongresowego, do nowoczesnej struktury społecznej i gospodarczej.

Zapadał się jeden świat, dźwigał się przed oczami nowy.

Podobnie dzisiaj stoimy na granicy kończącego się świata „chłopskiego“ a rozpoczynającego swój byt odrodzony w odrodzonej Polsce, świata „ludu polskiego“, stanowiącego fundament narodu i wiecznie żywe źródło jego sił rozwojowych.

Jak Podkomorzy był „ostatnim, co tak poloneza wodził“, podobnie Boryna przejdzie przez literaturę do historii, jako „ostatni“ chłop starego autoramentu.

Czas biegnie szybko i niesie z sobą zmienność form i zmienność nastrojów.

Już po powstaniu „Chłopów“ wieś polska przeżyła dwa wielkie wydarzenia dziejowe: rewolucję rosyjską 1905/6 roku na obszarze Królestwa Kongresowego i wojnę lat 1914 — 18 na obszarze całej Polski.

Doczekała się wskrzeszenia państwa polskiego

i zaczęła odgrywać własną i dużą rolę w życiu politycznym narodu. I nietrudno przewidzieć że, jeżeli życie to będzie się rozwijało normalnie, jeżeli Polska pokryje się siecią szkół powszechnych, podniesie się na wyższy poziom cywilizacji i kultury i osiągnie pożądaną równowagę społeczną, to młode pokolenia „chłopów“, wychowanych w nowych, odmiennych warunkach, nie będą już zupełnie podobne do „chłopów“ z epoki, w której Reymont tworzył swoje dzieło.

Ale właśnie dlatego nabiera to dzieło znaczenia pomnikowego i nie przestanie nigdy zajmować tych, których zajmuje wogóle dusza ludu polskiego, dusza nieśmiertelnej rasy polskiej.

Niektóre cechy tej duszy są niezienne, wiecznotrwałe, i te właśnie cechy, bez względu na zmianę dekoracyj zewnętrznych, na nowy tynk, który narzuci na nie czas — będą zawsze do odszukania w epopei Reymonta.

Daleka nawet potomność, która zapomni o *rzeczywistości* naszego pokolenia i nie będzie umiała jej sobie odtworzyć, znajdzie w tej epopei klucz do zrozumienia duszy chłopca polskiego, *rasowość* bowiem tej duszy u żadnego z pisarzy współczesnych nie wystąpiła w takiej postaci wyraźnej, w takiej pełni i doskonałości szczegółów, podpatrzonych i odczuty w sposób wprost niezwykły, jak to jest u Reymonta.

Wszystkie cechy charakteru chłopskiego, a co za tem idzie charakteru *narodowego*, chłop bowiem jest

przedstawicielem najczystszej rasy polskiej w granicach i pojęciu, w jakich może być mowa dzisiaj o „czystych rasach“ — zostały tu uwydatnione i wystąpiły w posagowych kształtach.

Reymont, obdarzony niespotykanym wprost darem i umiejętnością patrzenia, postrzegania i zapamiętywania rzeczy postrzeżonych, jest niedającym się porównać z nikim *odtwórcą polskiej rzeczywistości ludowej*.

Jego lud nie jest ludem wyidealizowanym. Jego chłopi to chłopi najprawdziwsi, ze wszystkimi swojemi wadami i zaletami, ze wszystkim swoim złem i dobrem, z całą swoją pierwotną, chciwą, zaborczą naturą i z całą jednocześnie jakąś praaryjską, obrzędową „kapłańskością“ w chwilach, kiedy wchodzą w stosunek z Ziemią, kiedy ją orzą, rzucają na zagony ziarno usiewne, a potem dostały z tych zagonów zbierają plon.

Tak samo i jego obrazy przyrody to najwspanialsze impresjonistyczne, przesycone wszystkimi barwami wiosny, lata, jesieni i zimy polskiej, krajobrazy wsi, osadzonej odwiecznie między borami i lasami, wrośniętej w ziemię przyciesiami swoich chałup i zespolonej z tą ziemią tysiącletniem przynajmniej, jeśli nie daleko dawniejszem, współżyciem bliskim, nierozzerwalnem.

Dlatego „Chłopi“, w których uwydatnia się to przede wszystkim, są *arcydziełem*.

Dlatego Reymont na tle epoki, która żyje rozstrojem, przechodzącym w anarchję, która raczej bu-

rzy niż tworzy, jest zjawiskiem wyjątkowym, zjawiskiem, któremu trudno znaleźć odpowiednik w literaturze powszechnej.

Lud wiejski i jego życie nie są — jak już mówiłem — tematem nowym, ani wyjątkowo przez Reymonta wybranym. W beletrystyce uniwersalnej nie brak dzieł, nawet arcydzieł z tego zakresu, zwłaszcza u Skandynawów, a jednak arcydzieła równego Reymontowym „Chłopom“ niema.

Z jednym autorem „Placówki“ mógłby się Reymont mierzyć — i jeden tylko Prus może się z nim równać w pewnych momentach umiejętnością docierania do głębin instynktu chłopskiego.

Ale Prus był w tych rzeczach obserwatorem, psychologiem-analitikiem, który badał metodycznie i cierpliwie budował sobie syntezę duszy swojego Ślimaka. Reymont bez tego trudu, który można nazwać trudem naukowym, osiągnął to samo albo i znacznie więcej. Osiągnął zaś to drogą niesłychanej *intuicji*, która w zetknięciu z chłopem pozwoliła mu odgadywać, widzieć i wiedzieć wszystko.

Ten wyjątkowy dar nieba, ten rzadko spotykany w tym stopniu dar intuicji psychologicznej stanowi, obok wyjątkowych zdolności postrzegania, drugi pierwiastek składowy talentu Reymonta.

Podobnie jak w zetknięciu z przyrodą widzi on i słyszy wszystko, jak wzrokowi jego nie ujdzie ani suchy badył przy drodze, ani najmniejszy obłoczek na niebie, jak potrafi on, skupiwszy swoją obserwację na jednym przedmiocie lub na jednym zjawisku,

widzieć jednocześnie dziesięć przedmiotów postronnych i dziesięć innych zjawisk, odbywających się w tym samym czasie — tak samo w zetknięciu z duszą ludzką widzi on ją odrazu nawskroś, przenika ją i odgaduje w każdym drgnieniu, w każdym najbardziej ukrytem nawet poruszeniu.

Interesują go nietylko wielkie namiętności, wielkie porywy. Interesują go także te małe, nikłe, uchodzące zwykle naszej uwagi odruchy duszy ludzkiej, będące wyrazem podświadomych stanów psychicznych.

Dlatego jest on majstrem niepospolitym nietylko w budowaniu wielkich charakterów, nietylko w tworzeniu głównych bohaterów swojej powieści, lecz w równej mierze w budowaniu i tworzeniu całego szeregu postaci drugo- i trzecioplanowych, które e dnak występują z niemniejszą od tamtych plastyką i mają swoją niezaprzeczoną indywidualność, swoją odrębność.

Policzmy tylko ludzi, którzy biorą udział w „Chłopach“. Jest tam kilkadziesiąt postaci, kilkadziesiąt indywidualności, z których żadna nie jest podobna do drugiej, nawet w gromadzie, nawet w tłumie, t. j. tam, gdzie zatracają się zwykle cechy indywidualne, bo górują nad nimi cechy zbiorowe.

Tak samo jest i w innych powieściach, a szczególnie w wielkiej trylogii historycznej: „Rok 1794“ („Ostatni Sejm Rzeczypospolitej“, „Nil desperandum“, „Insurekcja“).

Utwór ten, obok „Chłopów“, daje najlepszą miarę

wielkości talentu Reymonta i stawia nas oko w oko z trzecim pierwiastkiem jego talentu — z *wyobraźnią*, która, jak tamte dwa, jest również wyjątkowa.

O wyobraźni Reymonta możnaby i należałoby napisać całe osobne studjum, oparte na dokładnej analizie jego wizji twórczej, wizji zdumiewającej swoim rozmachem, szybkością i jakby kinematograficzną zmiennością obrazów.

Nie umiem wskazać nietylko w literaturze polskiej, ale w literaturze powszechnej pisarza, który pod tym względem dałby się porównać z Reymontem.

Bogactwo i łatwość jego wizyj olśniewa jeszcze bardziej, skoro się weźmie pod uwagę nietylko to, co zostało napisane i przez druk utrwalone, ale to całe, nieprzeliczone mnóstwo wspaniałych, nieraz gigantycznych obrazów, które autor „Chłopów“ wysnuwa w każdej rozmowie, czy to wśród wybranych przyjaciół u siebie w domu, czy nawet wśród przygodnych słuchaczy przy stoliku kawiarnianym.

Ile w takich rozmowach rodzi się pomysłów, ile powstaje od jednego rzutu powieści, które nigdy nie będą napisane, ile przesuwa się przed oczami obrazów!

A przychodzi to tak bez żadnego trudu, za lada jakim potrąceniem czy poruszeniem ośrodków tej wyobraźni w mózgu Reymonta, iż nabiera się przekonania, że są tam niewyczerpane złoża zupełnie gotowych, wykończonych filmów, które rozwijają swoje taśmy za pociśnięciem jakiegoś czarodziejskiego guzika i rozwijają je mogą w nieskończoność.

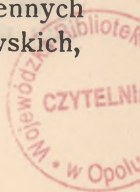
W powieściach Reymonta jest mnóstwo scen o pierwszorzędnym walorach artystycznych, które walory te zawdzięczają jego potężnej, nieokiełzanej, unoszącej i porywającej go wyobraźni.

Cechą tej wyobraźni jest dążność do przesady, do wyolbrzymiania. Reymont widzi wszystko w nadnaturalnej wielkości. Zatraca nieraz proporcję kształtu, gubi ją w dążeniu do takiego uwypuklenia charakterystycznych, uderzających go szczegółów, że zasłaniają one sobą inne szczegóły, niezbędne do precyzji realistycznego obrazu.

Dlatego realizm Reymonta jest jakimś nadrealizmem, szukającym dla siebie wyrazu przez nawskroś poetycki *animizm*.

Wejźmy tylko z nim razem na chwilę do wielkiej fabryki w Łodzi. Przyjrzyjmy się tam obrotowi wielkich kół, wsłuchajmy się w furkot transmisji, rzućmy okiem na bieganie czółenek tkackich, a przekonamy się, iż wszystko tam żyje swoim samoistnym życiem, iż to nie są tylko martwe maszyny, ale że jest w nich dusza — dusza potworna i bezlitosna, ale dusza potężna, która swoją niesamowitą siłą ujarzmi człowieka i czyni go swoim niewolnikiem.

Zarzucono „Ziemi obiecanej“ nieraz, że jako romans środowiskowy, malujący ośrodek wielkiego przemysłu, nie uwydatniła ona w sposób dostateczny niedoli robotnika, że autor, zainteresowany przede wszystkim ścieraniem się na bruku łódzkim w atmosferze handlu i wielkich interesów odmiennych rasowo typów polskich, niemieckich i żydowskich,



zapomniał o głównym aktorze na tej scenie, o walczącym z wyzyskującym go kapitałem robotniku i najmie, że nie umiał z nim współczuć, nie wystąpił w jego obronie, jak Żeromski.

Otóż tak nie jest. Prawda, że „kwestja społeczna“, zarysowująca się w Łodzi tak wyraźnie, nie znalazła w Reymoncie ani swojego herolda, ani swojego apologety, nie mniej jednak również jest i pozostanie prawdą, że, nie wyprowadzając robotnika bezpośrednio na widownię swojego romansu, pośrednio poświęcił mu autor „Ziemi obiecanej“ więcej uwagi, niż się to napozór wydaje.

Obecność tego robotnika czujemy wszędzie, a współczucie dla niego wynika już choćby tylko z odczucia potworności fabryki, którą zbudował genjusz ludzki nietylko na chwałę i pożytek człowieczeństwa, lecz także i na to, aby człowiek składał tam samego siebie na ofiarę Molochowi materjalizmu.

Przeciwnik materjalizmu, protestuje też Reymont niejednokrotnie przeciwko tego rodzaju ofiarom i tu wyraźnie staje po stronie pracy przeciw jarzmu maszyny. Broni wieś przed zaborczością miasta.

I nie może być inaczej, skoro pisarz ten dowiódł wielokrotnie, że niema dla niego rzeczy większej na świecie ponad sprawiedliwość.

W imię poczucia tej sprawiedliwości Reymont stał się w powieści polskiej ostatnich trzech dziesięcioleci żarliwym obrońcą ludu — ale obrońcą nietylko jego ekonomicznych interesów, mających na widoku nasycenie jego głodu ziemi i chleba, lecz

w daleko większym stopniu obrońcą praw jego sumienia, wolności jego przekonań, jego wiary.

Literatura europejska nie posiada w tym kierunku nic równie pięknego, równie gorąco i równie z serca napisanego, jak ta niewielka książeczka Reymonta, która nosi dla nas jednych tylko zrozumiały, a przed wojną tak tragiczny tytuł „Z ziemi chełmskiej“.

Gdyby jej autor nie był nic innego napisał, tylko tę jedną książeczkę, to już przez nią stałby się wielkim dla swojego narodu pisarzem, wielkim przez ten skarb serca czującego, które przemawia do nas — i nietylko do nas, ale do wszystkich, miłujących sprawiedliwość — z kart tej natchnionej, niemal ewangelicznej książki.

Jak wszędzie u Reymonta, i tutaj *prawda* jest najwyższą wartością opowiadań o niedoli prześladowanych unitów, prawda jednak uwydatniona tak, że, pomimo iż znaliśmy ją przedtem wszyscy, że znaliśmy ją niemal od dziecka z opowiadań o tragedji pratułińskiej, po raz pierwszy dopiero stanęła ona przed nami w żywej, wstrząsającej postaci pod genialnem piórem Reymonta — obrońcy „chrześcijan prześladowanych“ przez Neronów 19 i 20 wieków.

Ta książka jest może najtrwalszym pomnikiem, jaki postawił sobie Reymont w duszy zbiorowej narodu, bo siłą i napięciem zawartego w sobie uczucia, bo pełnym wyrazem instynktu narodowego przewyższa ona inne dzieła znakomitego pisarza.

A do duszy polskiej przez uczucie, pobudzające instynkt narodowy, jest najpewniejsza droga. Ani

rozumowaniem, ani sztuką najbardziej wyrafinowaną trafić tam nie można. Tylko uczuciem, zgodnie ze starym a mimo wszystkie protesty przeciw romantyzmowi nieprzedawnionym jeszcze nakazem: „miej serce i patrzaj w serce“.

Otóż Reymont-realista, a nawet naturalista, jak chcą niektórzy, ma to „serce polskie“ w sobie i umie patrzeć w serca Polaków.

Czy znaczy to, że jest on gdzieś, pod spodem swojej natury, w głębokich pokładach swojej duszy „romantykiem“?

Bynajmniej.

To tylko dowód, że ani on sam, ani jego talent nie są *przypadkiem*, ale wynikiem tych najlepszych i najwyższych tradycji ducha polskiego, które stanowią o istocie polskości i łączą między sobą pokolenia. To tylko dowód, że lud polski, do którego, jako do warstwy, Reymont należy, jest już narodem polskim.

Kto z tego ludu wyszedł, kto siłą swojego talentu przechodzi do elity narodowej i staje w pierwszym jej szeregu — nie jest tam parwenjuszem, o ile sercem obejmuje cały skarb tradycji narodowych. Wówczas ani się sam czuje tam obcym, ani za obcego jest uważany.

Serce znaczy tu więcej od rozumu, od zdobytego wykształcenia i posiadanych dyplomów.

Reymont nie ma ani wykształcenia regularnego, ani dyplomów. Jest samoukiem, który w pierw-

szym okresie swojego życia bywał częściej pod wozem, niż na wozie.

Sam o tem chętnie opowiada. Ze wsi rodzinnej coś go parło w świat szeroki, nieznan, obcy. Niepewny drogi, którą ma wybrać, czepiał się tego i owego. Jako 18-letni chłopiec grywał w trupach wędrownych, potem pukał do wrót klasztoru jasno-górskiego i odbywał tam nowicjat, marząc o białej sukni paulina i o cichem, spokojnem życiu zakonnem. Jeszcze potem próbował pracować na życie, jako skromny urzędnik kolejowy na małej stacyjce wśród ludzi, którzy ani chcieli, ani mogli go zrozumieć. W „Komedjantce“, w „Fermentach“, w „Kolejarzu“ jest bogaty materiał do jego biografji z tego okresu.

Wreszcie literatura pociągnęła go ku sobie tak silnie, że nie mógł się już temu oprzeć, i poszedł za nią „na głód i chłód“ długich lat, zanim zdobył sobie w niej imię i względny dostatek.

Jak sam opowiada, zawdzięcza ten moment przełomowy swojego życia i swoich aspiracyj Sienkiewiczowi.

Zamknięty w małym, nędznym pokoiku w jakimś zajeździe żydowskim w Skierniewicach czy innem miasteczku, spędził tam trzy dni sam na sam z „Trylogją“. Nie jadł, nie spał. Z prostego dzbana popijał tylko wodę i wchłaniał w siebie niepożyte piękno arcydzieła sienkiewiczowskiego a z niem razem wchłaniał w siebie Polskę rycerską, wspa-niałą, oszołamiającą, której nie znał, bo nie czytał przedtem żadnego dzieła historycznego, bo nie

miał nawet najelementarniejszych wiadomości o przeszłości narodowej, bo w szkółce, do której uczęszczał, jako chłopiec, uczył się tylko historii rosyjskiej, historii ujarznienia własnego narodu.

I stał się cud. Oczy jego przejrzały. Serce w jego piersi zabiło mocniej. Nędzna izdebka zaludniła się zjawami.

Czwartego dnia rano, zamknawszy ostatni tom „Pana Wołodyjowskiego“, zerwał się z łóżka, napisał na skrawku papieru podanie o dymisję, skwapliwie przyjętą przez naczelnika stacji, który uważał go za „niezdolnego do pisania raportów“ i w raportach tych niemiłosiernie kreślił i poprawiał jego styl — i z kilkoma rublami w kieszeni wyjechał do Warszawy, gdzie nie czekało go nic prócz nędzy i rozczarowania.

Mieszkał gdzieś na strychu, nie jadał obiadów, przeżywał tysiączne upokorzenia — raz usunięto go z cukierni, jako nieodpowiednio ubranego — ale zacisnął zęby i pracował. Płonął chęcią tworzenia. Czuł wzbierające w sobie siły. Pisał po nocach. We dnie czytywał innych pisarzy. Poznawał literaturę. Kształcił się, rozwijał i powoli zawierał jakie takie stosunki.

Dobroczynny wpływ pod względem duchowym wywarły na niego zwłaszcza stosunki z ówczesną redakcją „Głosu“, z Marjanem Bohuszem i Janem Ludwikiem Popławskim, którzy pierwsi, obok Aleksandra Świętochowskiego, wyczuli w nim wielki talent.

Niewiele mu jednak pomogli, bo pomoc nie mieli czem.

Borykał się więc Reymont jeszcze przez szereg lat z biedą, bo nawet pierwsze drukowane powieści przyniosły mu tak mało, że go to z biedy nie wyciągnęło — ale wkońcu zwyciężył, wypłynął na powierzchnię i utrzymał się na niej.

Borykał się jeszcze później z nędzą na mansardach paryskich w dzielnicy łacińskiej. Ale to już było co innego. Paryż sycił go zato swoją kulturą. Otwierał mu szeroko, coraz szerzej oczy na świat. Budził w nim głód wiedzy i porządkował jego aspiracje artystyczne, poddając je surowym dyscyplinom sztuki, na której wzory patrzył po muzeach, które cierpliwie studjował po bibliotekach, łamiąc się z trudnościami niedostatecznie przyswojonego sobie języka.

Francja cywilizowała go szybko i gruntownie, jak to ona tylko potrafi, wiążąc go z sobą na zawsze uczuciem wdzięczności.

Czy z całego tego okresu upośledzenia, upokorzeń i niedostatku wyniósł Reymont żal do społeczeństwa, do narodu, nienawiść do warstw posiadających, które obojętnie patrzyły na jego upartą i beznadziejną chwilami walkę?

Czy jak tylu innych zawiedzionych, upośledzonych i upokorzonych, stał się zwolennikiem idei przewrotowych, rewolucjonistą i agitatorom, szukającym słodczy zemsty osobistej w zbiorowej klęsce narodu?

Ani przez jedną chwilę nie powstało mu w myśli nic podobnego, stał bowiem za nim i przed nim, jak tarcza ochronna, wielki ideał Ojczyzny.

Przebaczył społeczeństwu wszystko, bo je kochał — nie takim, jakim ono było w istocie, lecz takim, jakim pragnął je widzieć.

Kochał *Polskę*, jej pragnął służyć, o jej niepodległości marzył i drogę do tej niepodległości widział nie w rewolucji społecznej, ale w obudzeniu szerokich warstw ludu polskiego do życia obywatelskiego, do życia narodowego. Pragnął dla tego ludu tej samej przemiany, jaka się w nim, dziecku tego ludu, dokonała w zetknięciu z duchowym dorobkiem narodu.

W Kościuszcze widział symbol Polski naprawdę demokratycznej i naprawdę narodowej, w manifestie połanieckim — *magnam chartam* wstępującego na arenę dziejów nowoczesnych ludu polskiego.

To właśnie po napisaniu „Chłopów“ doprowadziło go do konieczności napisania trzytomowej powieści historycznej, z Kościuszką, jako bohaterem-ideałą i z bitwą racławicką, jako realnem tej idei wcieleniem.

Powieść ta w zamierzeniu autora miała być ideologicznem dopełnieniem „Chłopów“, miała być związaniem polskiej teraźniejszości ludowej z jej przeszłością, wskazaniem ludowi polskiemu jedynej prostej i właściwej drogi do odzyskania niepodległości, jedynej chorągwi, pod którą mógł i powinien był gromadzić swoje siły.

Pomysł ten przytłoczył go, ale jednocześnie porwał go ku sobie, zachęcając do przewyciężenia wszelkich przeszkód, które powieściopisarz „współczesny“, przechodząc na obcy sobie grunt „historyczny“, musiał spostrzec przed sobą w nieladajakiem spiętrzeniu.

W szeregu potężnych obrazów, na których czoło wysuwają się: posępny i tragiczny Sejm grodzieński, dźwigający na sobie hańbę Polski upadającej, Paryż rewolucyjny z roku 1793, jako kuźnia wolności narodów, wreszcie bitwa raławicka i powstanie ludu warszawskiego pod wodzą Kilińskiego, jako przebłyski odrodzenia—dał nam Reymont doskonałe i głębokie, zadziwiająco w wielu momentach dokładne i prawdziwe studjum epoki.

Trylogja historyczna Reymonta nie została dotychczas właściwie oceniona. Książkowe jej wydanie przypadło na okres wojny, na okres najmniejszego, jakie było kiedykolwiek, zainteresowania literaturą.

Wielkość współczesnych wydarzeń historycznych przyćmiła całkowicie wielkość wydarzeń dawniejszych, bynajmniej nadto nie uwieńczonych powodzeniem a pogrążających Polskę jeszcze głębiej w otchłań upadku. Wstające z wiekowego grobu nadzieje biegły więc raczej w jutro, niechętnie oglądając się za siebie.

Tem należy tłumaczyć małą stosunkowo poczytność i popularność tego wielkiego dzieła Reymonta.

Nie mniej jest ono dziełem wielkiem, w którym występują na jaw wszystkie cechy talentu Reymon-

ta, a obok tych, o których dotychczas była mowa, jeszcze jedna, nie mniej ważna i cenna dla każdego artysty cecha — to *pracowitość*.

Reymont uważany jest powszechnie za pisarza, tworzącego ogromnie łatwo. Mówi się o nim, że, poprostu, wyrzuca z siebie powieści, jak wulkan, że w ciągu kilku tygodni może napisać książkę.

W istocie jednak wcale tak nie jest. Kto zna jego rękopisy przed ich przepisaniem na czysto, ten na każdej kartce spostrzeże tam mozolny trud pisarza.

Jeżeli więc Reymont mógł szybko napisać niektóre ze swoich utworów, jeżeli mógł wykończyć „Komedjantkę“, jak sam przyznaje, w 6 tygodni, to stało się to w drodze wyjątku, dzięki specjalnemu, przeważnie autobiograficznemu tematowi, który go porwał.

Zato nad innymi swojemi dziełami pracował długo.

Kilkanaście tysięcy wierszy „Chłopów“ w pierwotnej ich redakcji rzucił w ogień, poczem całą rzecz napisał na nowo, rozkładając pracę na 4 lata.

Prawdziwy jednak i ogromny trud pisarski czekał go dopiero, gdy podjął temat historyczny. Tutaj nie wystarczała ani genialna zdolność obserwacji, ani intuicja psychologiczna, ani wyobraźnia. Potrzeba było zebrać materiał do budowy cegła po cegle, rozsegregować, uporządkować i mieć po i ręką zawsze to, co najwłaściwsze. Aby móc stworzyć prawdę artystyczną, należało naprzód poznać prawdę historyczną, dotrzeć do jądra rzeczywistości czasu i ludzi.

A do tego niezbędna była cierpliwa i długa praca przygotowawcza, dokładne i drobiazgowo przestudjo-

wanie epoki, zbliżenie się do źródeł historycznych, przewertowanie mnóstwa pamiątek.

To wszystko uczynił Reymont z dobrą wolą, chociaż nie było rzeczy sprzeczniejszej z jego temperamentem, z jego bujną naturą, z jego fantazją powieściopisarską, zrywającą się ciągle do lotu na skrzydłach niespokojnej, zawsze podnieconej wyobraźni.

Widziałem go przy tej pracy. Widziałem go obłożonego stosem kalendarzy z wieku XVIII-go, pochodzących z jedynej tego rodzaju kolekcji Józefa Weysenhoffa, niestety dzisiaj już rozbitej, sprzedanej, wędrującej po antykwarniach.

Czego szukał Reymont w tych kalendarzach?

Oto rozglądał się przedewszystkiem w ogłoszeniach, w anonsach ówczesnych „kafehausów“, sklepów, miejsc rozrywek. Notował nazwiska, adresy. W ten sposób wchodził w „realne“ życie ówczesnej Warszawy, odtwarzał, a gdzie nie mógł odtworzyć, tam *odgadywał* Warszawę z czasów Stanisława Augusta i Kilińskiego.

Ta praca naprawdę benedyktyńska, świadcząca o ogromnej sumienności autora, dała wyniki świetne.

Pracę tę jednak ocenić może tylko historyk. Zwyczajny czytelnik nie zwróci na nią uwagi, przesłoni mu bowiem jej wyniki tocząca się lawina innych, bardziej ogólnych obrazów. Przesłoni mu ją także namiętność patryjotyczna, z jaką Reymont zanurza się w nurcie wypadków, z jaką walczy bok o bok z żołnierzem polskim przeciw Igelströmowi na uli-

cach Warszawy, w jej staromiejskich zaułkach, na jej placach — w imię wolności, całości i niepodległości Rzeczypospolitej.

Minjaturowe, precyzyjne, dobrane i oszlifowane z takim trudem przez autora szczegóły i szczególiki historyczne giną w tym epickim obrazie zmagającego się z najazdem patryjotycznego mieszczaństwa.

W dziele sztuki jednak ta praca nigdy nie idzie na marne. Zostaje ona i podnosi wartość artystyczną tego dzieła, czyniąc je trwalszem w czasie.

Dzięki temu „trylogja“ po „Chłopach“ i „Z ziemi chełmskiej“ należy do najtrwalszych dzieł Reymonta.

Zatrzymaliśmy się tutaj tylko na szczytowych punktach twórczości wielkiego pisarza. Omówienie wszystkich jego dzieł przekroczyłoby znacznie ramy, jakimi rozporządzamy a w których obrębie można zaledwie pokusić się o to, aby dotknąć tematu.

Rzeczą niepodobną i nie do wykonania jest w ciągu jednego, krótkiego wykładu przeprowadzić dokładną analizę talentu tak bogatego i złożonego, jak talent autora „Chłopów“.

Można tylko ukazać bryłę tego talentu. I, patrząc na tę bryłę samorodną, niepodobna oprzeć się zdumieniu i podziwowi wobec tego „daru Bożego“, z jakim Reymont przyszedł na świat.

Niepodobna nie zwrócić uwagi na to, że talent jego pokonał wszystkie przeciwności losu, że doj-

rzewał on i rozwijał się w warunkach najmniej sprzyjających, w takich koniunkturach życia, które raczej godziły na jego zagładę, że nie rozporządzał on nigdy tem, co w normalnej rodzinie daje dziecku lub młodzieńcowi otoczenie, atmosfera domu, przesyconego tradycjami i jaką taką choćby kulturą literacką i artystyczną.

Reymont musiał sam zdobywać wszystko. Nigdy i w niczem nie przyszedł do gotowego. Nigdy nie zasiadł do zastawionego stołu. Mozolnie wyłupywał siebie samego z zielonej łupiny. Wydobywał się z trudem, jak skałotocz cierpliwy, na światło i słońce z ciemnicy, w której pozostało na zawsze tyłu jego braci z tego samego, co on, środowiska ludowego.

Nie miał nawet możliwości wkroczenia na ten utarty i szeroki gościniec, jakim jest szkoła. Nie przeszedł ani szkoły średniej, ani uniwersytetu, ale wprost ze szkoły początkowej, z ladajakiem wykształceniem elementarnem, które w ówczesnym zaborze rosyjskim stało na niesłychanie niskim poziomie — wszedł w życie i zanurzył się w niem.

Mógł łatwo zachłysnąć się, zejść na manowce, zaprzepaścić się i zginąć.

Nie zginął, ale wywalczył i zdobył sobie stanowisko nie tylko wśród własnego narodu, ale wśród całej społeczności ludzkiej.

Nazwisko jego i dzieło twórcze należą dzisiaj do całego świata. Chłubi się niemi literatura powszechna i wlicza Reymonta pomiędzy największych pisarzy

kuli ziemskiej. Pisma obce są pełniejsze chwały o nim, niż pisma polskie. Fala powszechnego entuzjazmu podniosła się ku niemu, a przez niego ku całej literaturze polskiej, ku całemu narodowi polskiemu.

Jeżeli się to stało, to Reymont zawdzięcza to nietylko swojemu genjuszowi, nietylko hojnemu uposażeniu wewnętrznemu w to wszystko, co jest niezbędne do samodzielnej pracy twórczej, ale może w daleko większym jeszcze stopniu swojej postawie moralnej, swojej silnej woli, swojemu nawskroś czystemu stosunkowi do życia, co uchroniło go przed złą pokusą *użycia* a pozwoliło mu konsekwentnie i z wysiłkiem walczyć i pracować przez dziesiątki lat, aby dopiero dzisiaj owoc tej pracy w całej pełni oglądać.

Gdyby Reymont należał do rasy anglo-saskiej, gdyby był pisarzem amerykańskim, to już te jedne cechy jego charakteru, czyniące z niego wzór samodzielności i samopomocy, wydzwignęłyby go dawno na szczyt, a życiorysy jego byłyby czytane w szkołach dla zachęty młodych pokoleń.

Sądzę jednak, iż i dla nas, dla rodzącej się dopiero Polski demokratycznej, niepewnej jeszcze ani dróg swoich ani losów, szukającej jednak oparcia w szerokich warstwach ludowych—Reymont powinien być nietylko wielkim pisarzem, ale i *wielkim charakterem*, to jest tem, co w Polsce spotyka się rzadziej daleko niż wielkie talenty.

Powiedzmy sobie, że mamy w nim podwójnie

wielkiego człowieka, a tem dumniejszy, tem szczęśliwsi będziemy z tego, uświadamiając sobie, że krwią i ciałem, mózgiem i duszą należy on do nas, do *narodu polskiego*, którego chwałę wziął, jak Tytan, w swoje ramiona i cisnął ją na świat, aby obiegła kulę ziemską, głosząc wszędzie imię Polski, wracającej po latach niewoli na drogę swobodnej współpracy ze wszystkimi wolnymi narodami na rzecz wspólnych ideałów lepszego jutra.

Zato bądźmy mu wdzięczni — umiejmy być wdzięczni — za ten zaszczyt, jaki zgotował i przyniósł literaturze polskiej i ojczyźnie polskiej.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314492



000-314492-00-0

